



<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii Ze wspomnień spółdzielcy. Wspomnienia działaczy spółdzielczych.</p>		
<p>Ilość stron oryginału 20</p>	<p>Ilość skanów 20</p>	<p>Liczba plików publikacji 43</p>
<p>Autor Pilch Józef</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Zakład Wydawnictw CRS</p>	<p>Skan okładki</p>
<p>Miejsce wydania Warszawa</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 1963</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) Książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 24 x 17 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu Książka prezentująca działalność działaczy spółdzielczych na zasadzie wspomnień.</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) XX wiek, Ustroń, Józef Pilch, Skoczów</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.) Spółdzielnia,</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

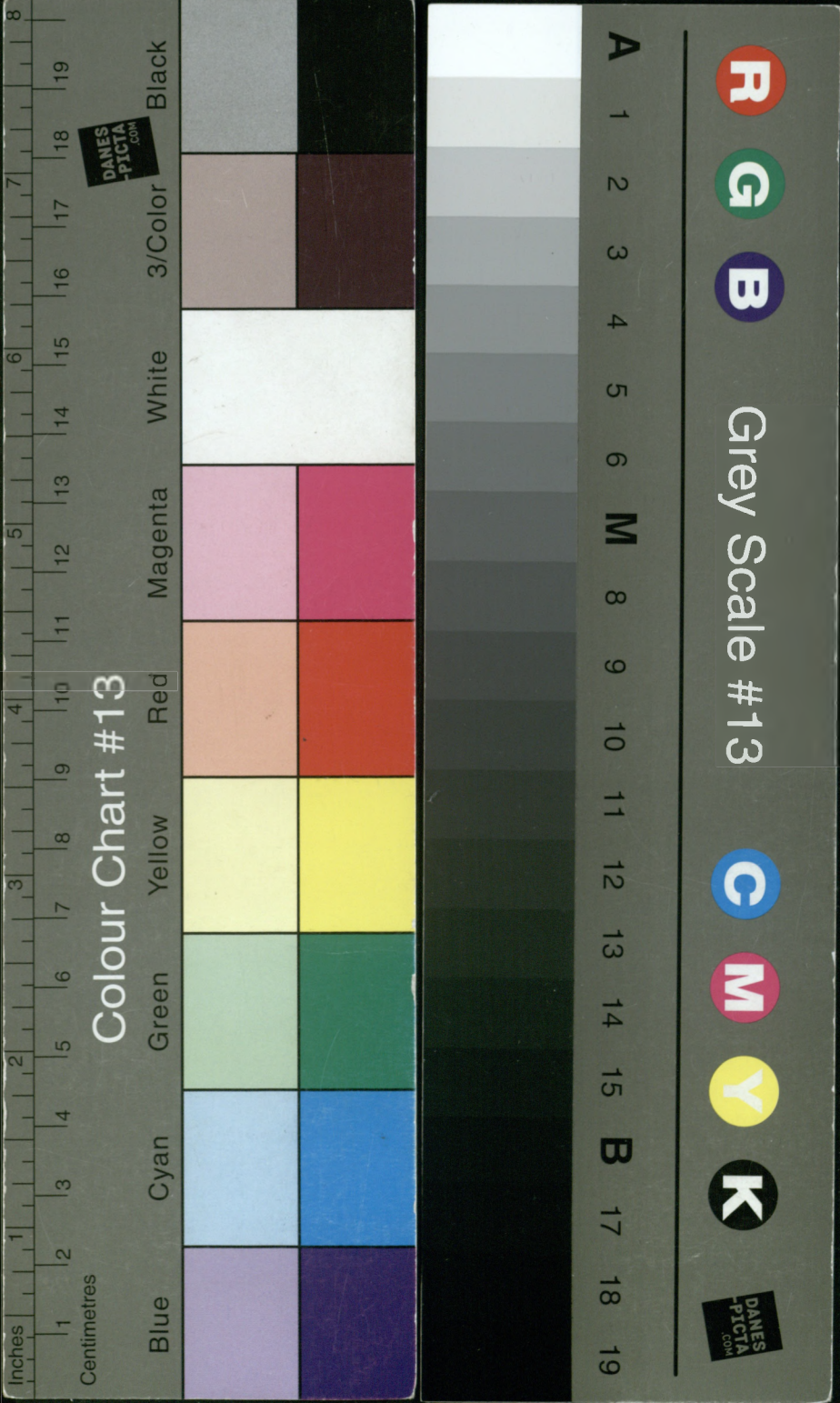
wspomnienia

*działaczy  
spółdzielczych*

Naczelną Radą Spółdzielczą  
SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT BADAWCZY

Zakład Wydawnictw CRS  
Warszawa 1963

a



## JÓZEF PILCH

Urodził się 2.III.1913 r. w Goleszowie na Śląsku Cieszyńskim. Szkołę powszechną ukończył w Ustroniu i rozpoczął pracę jako pracownik murarski.

Pracę zawodową w spółdzielczości rozpoczął w 1932 r., najpierw jako ekspedient, później kierownik sklepu. W 1939 r. pracował w dziale księgowości. Od 1945 r. aż do chwili obecnej zajmuje stanowisko głównego księgowego w PSS Ustroń. Od młodych lat aktywnie uczestniczył w pracach wielu organizacji politycznych, społecznych i oświatowych. Był członkiem PPS.

### ZE WSPOMNIENIA SPÓŁDZIELCY

W zasadzie wspomnienia rozpoczynają się od danych biograficznych. Idąc tym śladem również podaję niektóre dane o sobie. Urodziłem się w chłodny, mroźny poranek w nędznej lepiance, jako ósma latorośl naszej rodziny. Fakt ten wydarzył się jeszcze przed pierwszą wojną światową w przysiółku Równia, gminy Goleszów w powiecie cieszyńskim.

Ojca straciłem bardzo wcześnie. Wyruszył w 1914 r. na wojnę i w tym samym roku padł na froncie. Wzrastałem pod okiem matki, która po śmierci ojca żyła z pracy na półtorahektarowym gospodarstwie.

Z dzieciaka wyrósł chłopak, którego wysłano do siedmioklasowej szkoły powszechnej w Ustroniu, chociaż miejscowa jednoklasówka prawie sąsiadowała z naszą chatką. Dowód, że matka doceniała znaczenie szkoły i nauki, za co jestem jej nieskończenie wdzięczny.

Ponieważ na terenie Równi nie było żadnego sklepiku, ludność dokonywała zakupów w sklepach ustronkich, oddalonych o blisko 4 km od naszego przysiółka. Dlatego też rozpoczynając naukę w Ustroniu, objąłem funkcję „zaopatrzeniowca”. Byłem przecież najstarszym dzieckiem w domu, bo sześcioro mojego rodzeństwa pomarło, z tego pięcioro jeszcze przed moim urodzeniem, a jedyny żyjący brat wyjechał na roboty do Francji<sup>1)</sup>. Kilka razy w tygodniu, wracając ze szkoły, wstępowałem do kupca Szarberta z karteczką, na której matka wypisywała wszystko, co miałem zakupić. Tylko przed świętami, albo gdy przyjechał ktoś z krewnych, przynosiłem również chleb od piekarza Bergera.

W okresie, gdy uczęszczałem do trzeciej klasy, a więc gdy miałem dziewięć lat życia, matka postanowiła zmienić dotychczasowe źródło zaopatrzenia. Poszła do Ustronia, załatwiła jakieś formalności i po powrocie powiedziała: „Teraz już nie będziesz chodził po zakupy do Szarberta, ale do konsumu przy fabryce”. Konsumem nazywano popularnie Spółdzielnię Spożywców, założoną w końcu 1920 r. w Ustroniu.

Ze zdziwieniem, a może nawet niezadowoleniem przyjąłem ową zmianę. Matka starała mi się wytłumaczyć, że kupując w konsumie możemy otrzymać zwroty od

<sup>1)</sup> W II połowie XIX w. rozpoczęła się emigracja zarobkowa z Polski, spowodowana bezrobociem i skrajną nędzą mas pracujących, zwłaszcza na wsi. W okresie międzywojennym emigracja zarobkowa trwała nadal, a np. w okresie kryzysu 1929—1934, jeszcze się bardziej wzmacniała.

zakupów, poza tym towar jest tam dobry, waga rzetelna, na niektóre produkty ceny nawet niższe, nie okłamują itd. itd.

Pamiętam jeszcze dzisiaj ten pierwszy kontakt ze spółdzielnią i pierwszy zakup w sklepie spółdzielczym. Nie było tam takiego ładnego urządzenia, jak u Szarberta, nie było wywieszek reklamowych i w ogóle było jakoś inaczej.

Matka wpisywała mi do specjalnej książeczki zakupów co jest potrzebne. Książeczkę oddawałem staremu Goryczce, który wpisywał ceny, podliczał, wystawiał bloczek, z którym szedłem do kasy; w tym czasie inny pracownik już przygotowywał i wydawał zakupione artykuły. Większość kupujących przychodziła do sklepu z książeczkami zakupów. Byli oni załatwiani według kolejności. Ten rodzaj obsługi zaczynał mi się podobać, bo chociaż w sklepie było dużo ludzi, to nie miały żadnego znaczenia silne łokcie, ale kolejność oddawania książeczek zakupów. Nie było tu tak, jak u kupca Szarberta, gdzie klienci takiego chłopczyka jak ja nieraz odpychali od lady i biedaczek musiałem czekać, aż się sklep nieco opróżni. Zaimponował mi porządek w spółdzielni, zmieniłem swoje zdanie i ostatecznie przyjąłem z zadowoleniem podyktowaną mi przez matkę zmianę sklepu. Takie było pierwsze wrażenie i w taki sposób rozpoczął się mój pierwszy kontakt ze spółdzielczością.

Ten sklep, prymitywnie urządzone, bez wystawy, stawał się coraz bardziej popularny, miał coraz to więcej odbiorców. Powiększał się również jego personel. Przypominam sobie dzień, w którym za ladą sklepową stanął młodzieńcy, energiczny ekspedient Irecki, a w niedługim czasie jeszcze młodsza od niego, sympatyczna kasjerka Blasbalzanka, która ogromnie lubiła dzieci, a myśmy ją nie tylko lubili, ale naprawdę kochali. Znała nasze charaktery, upodobania, często wypytywała, jak nam idzie nauka, kto uczy, czy kochamy naszego nauczyciela, czy słuchamy się rodziców, umiała poradzić, pocieszyć zatroskane dziecięce serca, nieraz obdarowywała karmelkiem czy też jakimś ładnym kartonikiem.

Ta miła, zawsze uśmiechnięta dziewczuszka, nie tylko prowadziła kasę i w wolnych chwilach obsługiwała klientów, ale nas, szkolną dziatwę, wychowywała. Ile to razy przy odbieraniu karmelka czy kartoniku słuchałem takich słów „... ale za to musisz się dobrze uczyć w szkole, zawsze słuchać swoich rodziców, być grzecznym ... a przede wszystkim wszystko kupować w naszym sklepie”. Kiedy z końcem kwartału otrzymaliśmy świadectwa szkolne, „nasza kasjerka”, jak ją nazywaliśmy, nieraz życzyła sobie je obejrzeć. Jeżeli stopnie były dobre — dostawało się karmelka. Traktowała wszystkich jednakowo; na równi z dzieckiem bogatego gospodarza czy urzędnika stawiała mnie, syna ubogiej wdowy, oberwańca z połatanymi spodniami, w łapciach ze świńskiej skóry, zwanych na Śląsku Cieszyńskim „kyrpcami”. Dzisiaj mogę powiedzieć, że poza domem rodzinnym i szkołą, trzecim wychowawcą dziatwy była miejscowa spółdzielnia spóżywców, reprezentowana pod tym względem przez swoją kasjerkę Blasbalzankę. Uważałem odtąd, że kasjerka ze spółdzielni jest pierwszą osobą po nauczycielu, przed którą trzeba zdjąć czapkę na ulicy i grzecznie się ukłonić.

Patrząc dzisiaj, jako człowiek dojrzały, na te czasy, muszę stwierdzić, że kasjerka spółdzielni ustronńskiej, która bez przerwy, aż do wybuchu wojny w r. 1939, była tam zatrudniona, stała się nie tylko w pełnym tego słowa znaczeniu pracownikiem spółdzielczym, ale prawdziwym działaczem społecznym i pracownikiem społeczno-samorządowym dla dziatwy szkolnej.

Drugim pracownikiem, który utkwiał w mojej pamięci, był ekspedient, a później kierownik sklepu ob. Irecki. Sklep przez niego prowadzony był zawsze dobrze zaopatrzony, obsługa — uprzejma i energiczna.

Mijały lata. Z chłopca wyrósł młodzieniec, którego matka oddała do terminu do fabryki Brevelier Urban w Ustroniu, by nauczył się rzemiosła ślusarskiego. Pracowałem w narzędziowni. Moim najbliższym przełożonym, który mnie uczył zawodu, był znany w Ustroniu działacz robotniczy i społeczny Józef Cieślar. Był on równocześnie jednym z założycieli spółdzielni ustrońskiej, następnie członkiem Rady Nadzorczej, a przez dłuższy okres czasu dochodzącym członkiem Zarządu. W sąsiedztwie narzędziowni pracowali również długoletni działacze spółdzielczy: Adolf Palowicz na tokarce i Jan Śmiłowski na frezarce.

Śmiłowski był kolporterem prasy socjalistycznej na terenie fabryki. On pierwszy wepchnął mi, 15-letniemu chłopcu, do ręki „Wyzwolenie Społeczne”, a później „Gazetę Robotniczą”. Ten znany ze swej uczciwości człowiek starał się za pośrednictwem kolportowanej przezeń prasy socjalistycznej wychowywać młodzież robotniczą.

W r. 1928 naszą chatkę okradli złodzieje, tak że pozostałem tylko w ubraniu, w którym byłem w tym dniu na nocnej zmianie. Zaprenumerowanie gazety stało się dla mnie niemożliwe. Mój zarobek wynosił wówczas 4,50 zł tygodniowo. Musiałem z tego pokryć koszty odzieży ochronnej, żyć, kupować bieliznę, odzież, obuwie. Skąd więc mogłem brać na gazetę?

Postanowiłem więc przerwać prenumeratę pisma „Wyzwolenie Społeczne” (wychodziło trzy razy tygodniowo). Śmiłowski, ideowy działacz socjalistyczny, zrozumiał, że krok ten został podyktowany nędzą. A ponieważ wyczuł u mnie wielką ochotę do czytania prasy odpowiedział na moje postanowienie mniej więcej tak: „Ty Pilszek — tak mnie przeważnie nazywał — ja za ciebie będę opłacał „Wyzwolenie Społeczne” jak długo nie odrobisz tego, co ci zabrali złodzieje i nie zaczniesz więcej zarabiać”. Postawił przy tym jako warunek, że gazetę, którą za mnie opłaci, muszę czytać. Trochę mi było nieprzyjemnie przyjmować taką ofiarę, ale z drugiej strony ucieszyłem się niezmiernie. Blisko dwa lata nie brał ode mnie grosza za dostarczaną mi regularnie gazetę. „Wyzwolenie Społeczne” było radykalnym pismem lewego skrzydła Polskiej Partii Socjalistycznej. Omawiało ono również zagadnienia spółdzielcze na terenie powiatu cieszyńskiego oraz bielskiego. Pismo to uczyło mnie idei socjalistycznej i spółdzielczej. Dzięki człowiekowi, który mi je udostępnił, zacząłem już bardzo wcześniej inaczej patrzeć na ówczesną rzeczywistość. Kiedy niedawno wspominałem o tym temu, obecnie już 84-letniemu człowiekowi, ucieszył się niezmiernie, że w taki sposób charakteryzuję jego ówczesny postępek i powiedział: „Widzisz Pilszku, ja wiedziałem, że z ciebie jeszcze coś będzie, a cieszę się przede wszystkim, że ten mały wydatek nie poszedł na marne”.

Śmiłowski wiedząc, że lubię czytać, poradził mi w r. 1929, bym brał ze sklepu spółdzielczego do czytania „Spółnotę”. Był to tygodnik wydawany dla członków spółdzielni bezpłatnie. Najpierw była to mała gazetka pt. „Spółnota Śląska”, a później już pismo o dużym formacie pt. „Spółnota”. Zaznajała ona z celami i systemem organizacyjnym spółdzielczości. Jako 16-letni chłopak już się orientowałem, co to jest fundusz na cele kulturalno-oświatowe. Tak się do tego pisma przyzwyczaiłem i przywiązałem, że już po latach, gdy pełniłem czynną służbę wojskową w 2 Pułku Lotnictwa w Krakowie, koledzy ze spółdzielni ustrońskiej stale mi przysyłali „Spółnotę”.

Już po pierwszych kontaktach z działaczami „Kuźni” ustrońskiej zauważyłem, że wszyscy są związani z miejscową spółdzielnią, która wśród załogi fabrycznej cieszyła się ogromnym zaufaniem. Założyli ją prawie wyłącznie robotnicy i oni też nią kierowali za pośrednictwem wybranych przez siebie przedstawicieli. Wystarczyło porozmawiać z założycielami o pierwszych latach istnienia tej placówki, a można

się było przekonać, że istniała ona i rozwijała się tylko dzięki ideowej pracy ludzi, zarówno tych, którzy wchodzili do władz spółdzielni, jak i wszystkich jej członków. Swoją placówką żywo się interesowali, a początkowo wpłacali wysokie udziały, odpowiadające — jak mi mówił Śmitowski — wartości jednej krowy.

Spółdzielnia nie tylko zaopatrywała konsumentów w dobry towar, pomagała ona w walce z wyzyskiem kapitalistycznym, nie szczędziła wysiłków, by polepszyć byt klasy robotniczej. Pamiętam kilkutygodniowy strajk robotników fabryki Brevieliera Urban w Ustroniu w r. 1929, w czasie którego spółdzielnia wydawała bezpłatnie żywność dla strajkujących robotników. W kilka lat później dostarczała chleb, a nawet zakupywała kiełbasę dla strajkujących robotników, zatrudnionych przy regulacji Wisły i potoku rowieńskiego. Jak z tego wynika spółdzielnia była nierozdzielnie związana z ruchem robotniczym. Od samego założenia należała do Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych. Po połączeniu central spółdzielczych w r. 1925 w jej władzach pozostali ci sami ludzie. W dniu 1 maja tęczyowy sztandar spółdzielczy nieśli w czasie pochodu powszechnie znani przywódcy robotniczy, zasiadający w Radzie Nadzorczej Spółdzielni. Spółdzielnia wiele czasu i pracy poświęcała działalności społeczno-wychowawczej wśród swoich członków. Zwotywała zebrania, bezpłatnie wydawała gazetki, prowadziła bibliotekę, udzielała pomocy finansowej w wypadku śmierci lub jakiegoś nieszczęścia itp., a przede wszystkim niosła pomoc ruchowi robotniczemu. Obrady, informacje, zaznajamianie z wynikami pracy — wszystko to miało poważny wpływ wychowawczy na członków spółdzielni i w szczególności na młodzież organizacji „Siła”, która na takie zebrania była stale zapraszana.

W niedługim czasie wstąpiłem do Klasowego Związku Zawodowego i do Robotniczego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Siła” w Goleiszowie — Równi, której pierwszym prezesem był kierownik Spółdzielni ustrońskiej — Paweł Czudek. Nie tylko w Ustroniu i Równi, ale w całym powiecie cieszyńskim spółdzielczość była mocnym węzłem współpracy związana ze Stowarzyszeniem „Siła”. Nie było zebrania czy uroczystości, w których nie uczestniczylibyśmy, albo nawet w całości nie zapełniali własnym programem. Współpraca ta świadczyła o tym, że Spółdzielnia starała się ogarnąć młodzież najbardziej wyróżniającą się, polecała jej pełnienie funkcji społeczno-samorządowych, a nawet dzięki tej współpracy zatrudniała wiele młodzieży jako pracowników. W ten sposób przeszedł do pracy w spółdzielczości Karol Cieślak (obecnie prezes PSS w Cieszynie), następnie Kleszcz, Kopic, Gibcowa i wielu innych.

Po ukończeniu nauki rzemiosła ślusarskiego, gdy należało mi dać wyższe wykształcenie, kapitalista wyrzucił mnie z pracy. Powodem zwolnienia było m. in. należenie do organizacji robotniczej „Siła”. Jako bezrobotny wyżywałem się w pracy kulturalno-oświatowej, a przede wszystkim dużo czytałem. Dzięki temu nawiązałem bezpośredni kontakt ze spółdzielnią, która około 1930 r. zorganizowała dla członków i pracowników własną bibliotekę. Zacząłem z niej korzystać. Zaczątkiem biblioteki były książki, zebrane wśród pracowników. Dzięki dotacjom ilość książek zwiększała się z każdym rokiem.

Funkcję bibliotekarza pełnił pracownik księgowości Karol Biedrawa, który pierwszy zaprowadził mnie do szaf z książkami, znajdującymi się w biurze, gdzie urzędował kierownik spółdzielni i cały personel administracyjny. W szafach znajdowało się — jeżeli dobrze pamiętam — około 600 książek, które w każdym dniu w czasie pracy można było wypożyczyć. Były tam komplety dzieł Marksa, Engelsa, Kautsky'ego, Gide'a, Fouriera, jak również prace Mielczarskiego i Abramowskiego. Były tam oprowiane roczniki Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych „Spół-

dzielca<sup>2)</sup>), roczniki „Wiedza dla Wszystkich” i „Robotniczy Przegląd Gospodarczy”<sup>3)</sup>) było także mnóstwo broszur napisanych przez Jana Hempła, Ignacego Daszyńskiego, Hermana Diamanda, T. Regera i wielu innych. Nie brakło tam również prac Bolesława Limanowskiego, Emila Haekera, Feliksa Perla i innych działaczy ówczesnej PPS.

Poza literaturą teoretyczną i polityczną znajdowały się tam najcenniejsze dzieła literatury polskiej: Stefana Żeromskiego, Andrzeja Struga, Wacława Sieroszewskiego, Bolesława Prusa, Władysława Reymonta oraz literatury obcej — Wiktora Hugo i innych.

Można tam było również znaleźć prace popularne, pamiętniki itp., powieści Walentego Krzyszczaka, Szuścika, Kubusza, Londzina, Stalmacha, poruszające zagadnienia śląskie. Największym popytem cieszyła się literatura popularna. Głęboko utkwily mi w pamięci przeczytane książki, nauczyły mnie one kochać naszą literaturę ludową, zwyczaje, folklor, toteż zapomniać ich nie potrafię, wypadłoby chyba wyrwać je razem z sercem. Należy zaznaczyć, że biblioteka spółdzielcza odegrała ogromną rolę we wzbogaceniu poziomu wiedzy swoich członków, gdyż w Ustroniu nie było wówczas jeszcze innej odpowiedniej biblioteki postępowej, a tym bardziej robotniczej.

Dzięki samokształceniu, czytaniu książek i pracy kulturalno-oświatowej w „Sile” zdobyłem po kilku latach pewne wiadomości. Sporządzałem protokoły z różnych konferencji, zebrań, zdobyłem się na odwagę zabierania głosu, zwłaszcza w dyskusji nad sprawami pracy kulturalno-oświatowej i społeczno-samorządowej w spółdzielni. Po kilkunastu występach w zespołach amatorskich i kilku krótkich, przeważnie jednodniowych kursach reżyserskich, zacząłem reżyserować sztuki teatralne, układać programy na różne akademie, inaczej mówiąc, wpragnałem się w pełni do rydwanu pracy kulturalno-oświatowej. Dla prostego, niewykształconego człowieka to rzecz niełatwa. Ażeby zdobyć pewien poziom, pewien autorytet między równymi sobie, a nawet między starszymi, trzeba się było kształcić i jeszcze raz kształcić, nie poprzestawać na słowach, ale jak to powiedział Juliusz Słowacki „świecić przykładu tarczą jasną”.

W r. 1933 zespół „Sily” wystawił na scenie w restauracji „Na Gojach” sztukę spółdzielczą w 3 aktach pt. „Kto zwycięży”. Występowało w niej 18 amatorów, ponadto szereg osób spośród klienteli, występujących w charakterze kupujących w sklepie spółdzielczym. W tych czasach zaczynałem już reżyserować, albo grywałem główne role w wystawianych sztukach. W „Kto zwycięży” przypadła mi rola Obdzieralskiego. Przedstawienie urozmaiciliśmy również występami, ażeby impreza ta była naprawdę spółdzielczą.

Widowisko musiało być dobre. Toteż Zarząd Spółdzielni, która wówczas nosiła nazwę „Ogólne Stowarzyszenie Spożywcze i Oszczędnościowe” zaprosił nas na występ w dużej sali „Prażakówki” w Ustroniu. Dnia 26 listopada 1933 r. odegraliśmy po raz drugi przy wypełnionej po brzegi sali sztukę „Kto zwycięży”. Spektakl udał się nadspodziewanie. Dzięki energicznej działalności oświatowej,

<sup>2)</sup> „Spółdzielca” — dwutygodnik, organ Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych. Red. Jan Hempel. Warszawa. Wychodził w latach 1919—1920, zawieszony w 1920 r. Pod koniec tegoż roku wznowiony pod zmienioną nazwą „Świat Pracy”. Od początku 1925 r. „Spółdzielca” przestał wychodzić jako samodzielne pismo. Ukazywał się jako dodatek do „Robotniczego Przeglądu Gospodarczego”. Po zjednoczeniu ZRSS z ZPSS i powstaniu ZSSRP, „Spółdzielca” przestał wychodzić.

<sup>3)</sup> „Robotniczy Przegląd Gospodarczy” — miesięcznik wydawany przez Związek Robotniczych Spółdzielni Spożywców i Komisję Centralną Związków Zawodowych w Polsce, poświęcony polityce gospodarczej i socjalnej klasy robotniczej. Fragmentarycznie poruszał problematykę spółdzielczą. Wychodził w Warszawie w latach 1924—1925.



jaką wówczas prowadziła „Siła”, która również zaczęła organizować biblioteki, Zarząd Spółdzielni po pewnym czasie przekazał swoją bibliotekę robotniczym organizacjom młodzieżowym „Siła” w Ustroniu i w Równi.

Od czasu wspomnianego udanego występu artystycznego na Prażakówce zapraszano mnie nieraz do spółdzielni, a to właśnie wtedy, gdy trzeba było urządzić jakąś imprezę. Były to: zebrania członków, zebrania delegatów, dzień spółdzielczy itp. Ponieważ byłem kierownikiem zespołów śpiewaczego i teatralnego „Siła”, więc wspólnie z ich członkami nieraz kleciłem część artystyczną na uroczystości spółdzielcze. Muszę tutaj zaznaczyć, że literatura spółdzielczo-artystyczna w Polsce w ostatnich latach okresu międzywojennego należała do bogatszych. Toteż przygotowanie materiału i programu było wówczas bardzo ułatwione. Na przykład spółdzielnia otrzymywała na dzień spółdzielczości dużo gotowego materiału w postaci broszur, tekstów, deklamacji indywidualnych, zbiorowych, inscenizacji, dialogów, monologów, a nawet sztuk teatralnych, wybranych myśli, sentencji — poza tym plakaty, odezwy, ulotki, chorągiewki, wstążki itp. Wybieraliśmy tylko materiały, według naszego zdania najbardziej aktualne, które następnie rozdzielałem między członków zespołów. Najchętniej korzystałem z utworów Ildefonsa Gałczyńskiego i Edwarda Szymańskiego.

Starłem się zawsze, ażeby program stał na wysokim poziomie artystycznym, co się w zasadzie udawało, gdyż pracowałem ze znanym rowieńsko-gojeńskim zespołem. Ponieważ już od dzieciństwa miałem w sobie bakcył zamiłowania do gromadzenia materiałów artystycznych, książek i dokumentów, przechowywałem skrupulatnie materiały artystyczne z imprez spółdzielczych, wojna spowodowała w nich jednak ogromne szczyrby. Została mi tylko znikoma ilość tych cenionych przeze mnie „szpargałów”.

Dzięki wspomnianym wyżej kontaktom, pozwolono mi uczyć się w biurze spółdzielni pisaną na maszynie. Było to w mojej pracy kulturalno-oświatowej bardzo przydatne.

W 1934 r. zacząłem znowu pracować w fabryce. Zarabiałem około 25 zł tygodniowo, mogłem więc teraz pomyśleć o nauce. Zaabonowałem skrypty maturalnych kursów z „Wiedzy” krakowskiej. Niestety, zmarła mi matka i już nie było możliwości odraczania służby wojskowej. Ledwo rozpocząłem i opłaciłem naukę — a już musiałem ją przerwać.

Po powrocie z czynnej służby wojskowej w 1937 r. otrzymałem zatrudnienie w kuźni ustroniejskiej. Po pierwszej wypłacie zamierzałem zaabonować skrypty z „Wiedzy” krakowskiej. Podzieliłem się moimi zamiarami z kolegami, a równocześnie pracownikami miejscowej spółdzielni, Biedrawą i Kłapsią, którzy mnie jednak odmówili od tego, a zalecili kursy spółdzielcze Związku „Społem” w Warszawie. Przemyslałem propozycję, przejrzałem prospekty i postanowiłem ostatecznie zamiast kursów „Wiedzy” zaabonować dwuletni kurs korespondencyjny „dla buchalterów i pomocniczych sił buchalteryjnych” „Społem” w Warszawie. Kursy spółdzielcze były płatne. Podpisując deklarację, zobowiązałem się uiścić koszty, wynoszące rocznie — łącznie z wyjazdem — zdaje się około 200 zł.

Życie zaczęło mi się trochę stabilizować. Zarabiałem około 100 zł miesięcznie, zacząłem się uczyć, kierowałem zespołami amatorskimi „Siły”, zajmowałem się zbieraniem różnych starych dokumentów, dotyczących historii naszego regionu, co mi sprawiało wiele przyjemności. Zapoznałem się i zaprzyjaźniłem przy tym z wybitnymi działaczami społecznymi Śląska Cieszyńskiego: Regerem, Machejem, Mazurem, Kossobudzkim i wielu innymi.

Nastąpił luty 1938 r. Cieślar, który mnie uczył rzemiosła i z którym wspólnie pracowałem w fabryce, oświadczył mi, że po skończonej dniówce mam zacząć, gdyż ma ze mną coś ważnego do omówienia. Co się stało? Przecież niczego nie zbroiłem. Dlaczego miał jakąś niewyraźną minę? Wybiła godzina 15, zakończyliśmy pracę i oto czekam na tę ważną wiadomość. Wychodzimy razem. Cieślar nabił fajeczkę, przycisnął tytoń dużym palcem prawej ręki — jak to miał zawsze w zwyczaju — zapalił, cmoknął kilka razy i tak powiedział: „Wiesz Pilszek, na wczorajszym posiedzeniu Zarządu Spółdzielni postanowiliśmy zwrócić się do ciebie z propozycją, żebyś się zwolnił z fabryki i przeszedł do pracy w Spółdzielni”. Motywował ten krok moim zainteresowaniem ruchem spółdzielczym, organizowaniem imprez itd. Wspomniał, że mam duże znajomości w Wiśle, z której moja rodzina pochodzi, a właśnie w Wiśle Spółdzielnia ma najgorszy sklep i Zarząd uważa, że jedynie ja bym potrafił go „postawić na nogi” i naprawić opinię spółdzielczości na tym terenie.

Wiadomość ta uderzyła we mnie, jak grom z jasnego nieba. Odpowiedziałem, że muszę to sobie jeszcze dobrze przemyśleć zanim udzielię ostatecznej odpowiedzi.

Kiedy zacząłem na ten temat rozmawiać z kolegami w fabryce i z towarzyszami z „Siły”, otrzymałem różne odpowiedzi: jedni twierdzili, że to okazja, z której trzeba skorzystać, inni znowu wyjaśniali, że jeżeli przejdę do pracy w sklepie, to będę miał gorsze warunki... że co mi właściwie da dwugodzinna przerwa obiadowa... że trzeba będzie dojeżdżać do Wisły... Ja znów widziałem różnicę między pracą w Spółdzielni a pracą w fabryce w tym, że w fabryce pracuję dla wiedeńskiego kapitalisty li tylko dla zarobku, w spółdzielni natomiast owoc mojej pracy będzie szedł na dobro społeczne. Po kilku dniach Cieślar poprosił mnie o konkretną odpowiedź. Prosiłem jeszcze o kilka dni zwłoki, przyrzekając, że w sobotę zdecyduję się ostatecznie.

My Ślązacy, a może jeszcze więcej, my z cieszyńskiego, należymy do ludzi trochę konserwatywnych i jakiegokolwiek zmiany, choćby nawet miejsca pracy, są u nas związane z głębokim przemyśliwaniem i ostrożnością.

Przemyślałem więc dokładnie działalność spółdzielni ustrońskiej, która w okresie międzywojennym cieszyła się ogromnym poważaniem ze względu na dobrą organizację pracy, uczciwość ludzi wchodzących do jej kierownictwa, jak również ze względu na jej bardzo dobrych pracowników. Przecież spółdzielnię tę zakładali i w jej kierowniczych władzach stale zasiadali tacy ludzie, jak Jerzy Lazar, który dzięki usilnej pracy nad sobą był jednym z najlepszych znawców zagadnień prawnych, majątkowych, finansowych, komunalnych na terenie Ustronia prawie 40 lat był sekretarzem Urzędu Gminnego. Gdy ktoś, nawet w życiu prywatnym, miał jakąś trudniejszą sprawę do załatwienia lub musiał powziąć poważniejszą decyzję, szedł do sekretarza Lazara po radę. Kierownikiem spółdzielni był stary działacz społeczny i polityczny Paweł Czudek. To samo można powiedzieć o ludziach z odcinka pracy społeczno-samorządowej. Pracownicy byli starannie dobierani — manko był to w spółdzielni wyraz nie znany — dlatego tak działacze, jak i pracownicy byli przez miejscowe społeczeństwo bardzo cenieni. Ta właśnie postawa, autorytet, zaufanie, uczciwość, a przede wszystkim uczucie, że nie będę już pracował na zagranicznego kapitalistę, zadecydowały ostatecznie o moim postanowieniu i w sobotę dałem Cieślarowi pozytywną odpowiedź.

Złożyłem wypowiedzenie pracy w fabryce i dnia 5 marca 1938 r. rozpocząłem pracę w spółdzielni ustrońskiej. Debiutowałem w sklepie nr 3 w Golezowie. W sklepie czułem się nieswojo. Uczyłem się ważyć, paczkować, nawet sprzątać, a stopniowo obsługiwać klientelę. Po dwumiesięcznej praktyce, kierownik sklepu Semik oświadczył wobec Zarządu, że mogę objąć stanowisko kierownika. We

wspomnieniach wygląda to prosto, ile jednak się w tym okresie namęczyłem. Siedziałem wieczorami i uczyłem się: materiałoznawstwa, sposobu przechowywania towarów, konserwacji itd. Potrzebne do tego książki i broszury otrzymywałem ze spółdzielni.

Niezależnie od tego byłem już poważnie zaawansowany w nauce na spółdzielczych kursach korespondencyjnych dla księgowych, nauki bowiem nie przerwałem. Pracowałem nad sobą codziennie do późnej nocy.

Po pewnym czasie Zarząd Spółdzielni postanowił mnie przenieść na stanowisko kierownika sklepu nr 6 w Wiśle — Centrum. Był to lokal piękny, położony w najruchliwszej części tej miejscowości, ale opinia o nim była na terenie Wisły fatalna. Zbankrutowała tam spółdzielnia pod nazwą „Spółka Ludowa”, członkowie mieli dużo kłopotów i zmartwień, gdyż odpowiedzialność w myśl statutu spółdzielni była nieograniczona. Pomimo że spółdzielnia ustrońska, przejmując zbankrutowane przedsiębiorstwo, uratowała tamtejszych członków od płacenia wysokiego niedoboru, zaufania do spółdzielczości nie odbudowano. Miałem krewnych w Wiśle, często tam zatrzymywałem się przejazdem i sytuację znałem bardzo dobrze. Spółdzielnia ustrońska przejęła sklep łącznie z pracownikiem byłej „Spółki”, który nie dbał o zaopatrzenie, o ratowanie opinii spółdzielni, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację. W końcu wypowiedziano mu pracę.

Jadąc w piękny letni poranek 1938 r. do Wisły, czułem, że czeka mnie tutaj duży wisitek. Ale byłem zdrowy, silny, pełen zapału, fantazji, humoru — i z tym też bagażem wyładowałem w sklepie wiślańskim.

Nie miałem jeszcze doświadczenia w zakresie „odbierania” sklepu, ale zauważyłem w czasie remanentu, że część towarów w sklepie jest mocno nadpsuta. Przedstawiciel Rady Nadzorczej, wspólnie z kierownikiem sklepu chcieli go wpisać do inwentarza. Nie zgodziłem się na to, zdawałem sobie sprawę, że mam tu już nie tylko ratować podupadłe zaufanie do ruchu spółdzielczego, ale ruch ten od nowa budzić, organizować. Po długich sporach, w czasie których tłumaczono mi, że bez wpisania do remanentu wszystkich towarów, księgowość nie będzie mogła rozliczyć się z kierownikiem sklepu — uzgodniliśmy w końcu, że przyjmę wszystkie towary, a prezes Spółdzielni, wspólnie z głównym księgowym przyjadą w najbliższych dniach w celu dokonania odpisu zepsutych artykułów. Zauważyłem, że władze spółdzielni więcej robią starań o zaopatrzenie i poziom sklepów na terenie Ustronia, a zaniedbują oddalony od centrali o 10 km sklep w Wiśle. Później dopiero dowiedziałem się, że towary przejęto po upadłej „Spółce Ludowej” już w stanie nadpsutym, a ponieważ kierownik sklepu nie przejmował się takim stanem rzeczy, uległy one więc dalszemu rozkładowi.

Rozpocząłem ciężką pracę. Sporządziłem zamówienia, wysortowałem ponownie wszystkie towary nadpsute i uszkodzone, przeniósłem je do magazynu. Na wykonanie tych czynności i uporządkowanie sklepu miałem czasu pod dostatkiem, gdyż ruch był bardzo słaby. Codziennie atakowałem prezesa w Ustroniu o dokonanie w moim sklepie odpisu towarów nie nadających się do sprzedaży i o nadeślanie wspomnianej w remanencie komisji. Otrzymałem wymijające odpowiedzi — zacząłem się niepokoić. Po tygodniu czekania oświadczono mi, że ponieważ towar przyjąłem, mam się starać sprzedać co jest tylko możliwe. Zagroziłem, że w razie niezłatwienia sprawy, prześlę zepsute artykuły do centrali w Ustroniu. Minęło znowu kilka dni, a ponieważ nikt nie przyjechał, by dokonać odpisu, wynająłem jednokonną furmankę, załadowałem prawie pełny wóz zakwestionowanego towaru i przesłałem do centrali w Ustroniu. Narobiło się dużo szumu. Jedni mi wymyślali, inni, z księgo-

wym Karolem Lipowczanem na czele, oświadczyli, że to dobry znak, bo od samego początku staram się o zaprowadzenie porządku w spółdzielni.

Jak wywnioskowałem, władze spółdzielcze chciały całą tę sprawę rozciągnąć na dłuższy okres czasu, bo jakże będą wyglądali wobec członków i władz nadrzędnych, mając połowę artykułów nadpsutych. Wartość ich wynosiła około 500 zł. Najwięcej namęczył się robotnik magazynowy Błahót, który towar ten przesorował i większość jego wywiózł jako nawóz na śmietnisko do Kamieńca.

Nie ma nic trudniejszego niż odrobić zawiedzione zaufanie. Ciężka to była praca! Porobiłem różne znajomości, byłem w Wiśle na każdej imprezie. Po pewnym czasie zaczęto już „panoczka ze spółki” jak mnie ogólnie nazywano, zapraszać na tamtejsze uroczystości. Byłem przecież kawalerem, a to miało duże znaczenie. Po każdej takiej imprezie miałem nowych klientów, nowych odbiorców i nowych członków w sklepie. Nie bez znaczenia było moje wyrobienie organizacyjne. Nawiązałem kontakt z chórem mieszanym, który w domu zdrojowym tuż nad moim sklepem miał swoją świetlicę. Z jednej takiej próby pozostała mi pamiątka w postaci piosenki ludowej o dziewczętach w Wiśle, której mnie nauczyła uroczą Hanka.

Wiele czasu poświęcałem werbunkowi członków i sprawdzaniu członkostwa. Spółdzielnia „przyjęła” wraz ze sklepem członków, lecz w większości oni o tym nie wiedzieli, nie posiadali legitymacji członkowskich, wobec czego stale szperałem w kartotece.

Nawiązałem kontakt z domami wypoczynkowymi i zdrojowymi. Kilka z nich udało mi się wyrwać z rąk kupców prywatnych, którzy w Wiśle byli potęgą. Najbogatszy kupiec w Wiśle — Wojnar — miał sklep otwarty w sezonie od godz. 6 rano do 21 wieczorem. Zakupiony towar dostarczał bezpośrednio do pensjonatów. W spółdzielni było jednak trochę inaczej, niż u Wojnara, u którego sklepowi pracowali przeciętnie po 12 godzin. Wynagrodzenie było niskie. W spółdzielni staraliśmy się utrzymać 8-godzinny dzień pracy, a zarobek uzależniony był od obrotu w sklepie, słowem od wkładu pracy. Mimo wszystkich trudności po 2 miesiącach obroty w sklepie wzrosły pięciokrotnie, przyjęto do pracy ekspedienta. Zwerbowałem również kilkudziesięciu nowych członków.

Minęła surowa zima, nadszedł sezon 1939 r., należało się więc do niego przygotować. Wiadomo było, że do Wisły na sezon przyjeżdża tysiące kuracjuszy, zaopatrzenie których trzeba było wyrwać z rąk handlu prywatnego i tym samym powiększyć obrót sklepu. Wzrastał stopniowo i mój zarobek, który wynosił 3% od obrotu, ale z osiągniętej w ten sposób sumy musiałem opłacać również i ekspedienta. Poza zaopatrzeniem sklepu, które w ustrońskiej spółdzielni w okresie przedwojennym było bardzo dobre, starałem się oprócz miejscowych robotników i rolników zaopatrywać również domy letniskowe i pensjonaty. Zdobyłem „Wierchy”, „Wenus”, „Księżówkę Ewangelicką”, „Almirę”. Postawiły one jednak warunek dostarczania im towaru bezpośrednio do domu. Ponieważ Zarząd nie chciał się zgodzić na przyjęcie do pracy chłopca na posyłki, powierzałem te czynności 15-letniemu Podżorskiemu, którego wynagradzałem z własnych poborów.

Dużą pomocą przy zorganizowaniu sklepu, werbowaniu członków itd. okazali spółdzielni opiekunowie sklepu z ramienia Rady Nadzorczej, Kral i Liboska. Pełnili oni wzorowo obowiązki członków późniejszych komitetów sklepowych, a co najważniejsze, umieli porozumiewać się z członkami spółdzielni.

W Wiśle, naprzeciw sklepu stała nowa szkoła powszechna. Toteż dzieci stale odwiedzały prowadzony przeze mnie sklep spółdzielczy. Starałem się wpływać na maleństwa i wychowywać je metodami, jakie przed laty, gdy jeszcze sam byłem brzdącem, stosowała do mnie kasjerka sklepu głównego w Ustroniu. Może kiedyś

po latach — myślałem sobie — ktoś z nich przypomni sobie „panoczka ze spółki” i scharakteryzuje jego postępowanie tak, jak ja to robię teraz w stosunku do panny Blasbalżanki.

W sezonie 1939 r. sklep miałem otwarty tylko 8 godzin, codziennie jednak po zamknięciu sklepu, bez względu na godzinę, przygotowywałem towar na dzień następny. Towary nadające się do tego paczkowano w sklepie. Codzienne przygotowywanie towarów i ich paczkowanie na dzień następny ogromnie ułatwiało pracę, a co najważniejsze, pozwalało na szybszą obsługę kupujących i odciągało klientów od handlu prywatnego. Paczkowałem nie tylko artykuły pierwszej potrzeby, jak cukier, kasze, sól, mąkę, ale również kawę, herbatę i wiele innych. Poza tym przygotowywałem towar na zamówienie dla domów wczasowych i pensjonatów. W pracy dwoiłem i troiłem się, ale też wyniki były dobre. Spółdzielczość spożywców na terenie Wisły zdobywała zaufanie, które zaczęło wzrastać jeszcze bardziej po wyplacie (w towarach) pierwszych zwrotów od zakupów na 1938 r.

Ponieważ umowa o pracę przewidywała, że będę wynagradzany procentowo od obrotu, moje pobory w sezonie 1939 r. przekraczały pobory kierownika spółdzielni. Sytuacja tego rodzaju wprawiała mnie w zakłopotanie, gdyż każdy człowiek mógłby mi zarzucić, że pracuję nad siły, że odrabiam w Wiśle zaufanie do spółdzielczości tylko dla wysokiego zarobku. Zarząd — nawet słusznie — zastanawiał się nad zmianą sposobu mojego wynagrodzenia, co jednak ze względu na wybuch wojny nie doszło do skutku.

W czasie mojej pracy w sklepie wiślańskim trafiali się rozmaici klienci. Poświęcę im kilka słów. Niektórzy podczas zakupów tak się zachowywali, jak gdyby w ogóle nie słyszeli o spółdzielczości polskiej. Z dyskusji, jakie na ten temat prowadziłem z klientami, ludźmi wykształconymi, zajmującymi zapewne kierownicze stanowiska — wydawało mi się niekiedy, że mam do czynienia z ignorantami, nie znającymi nawet takich miast, jak Kielce, Włocławek, Toruń. Niejeden spośród nich, w odpowiedzi na moje wyjaśnienia mówił: „Nie mam zaufania do wyrobów z marką „Społem”, a jeżeli pan nie prowadzi wyrobów „Piaseckiego” czy „Wedla” ... to dziękuję”.

Niezależnie od zarządzeń Związku Spółdzielni Spożywców, mnie jako pracownikowi spółdzielczemu chodziło o reklamę i zbyt produktów spółdzielczej produkcji. Jakoś inaczej czułem się za ladą, gdy obcy mi człowiek oświadczył: „Przyjemnie, że nawet w Wiśle mogę się zaopatrzyć w sklepie spółdzielczym”.

Przyjezdni, którzy rekrutowali się wówczas prawie wyłącznie spośród ludzi bogatych byli przeważnie klientami z wielkimi wymaganiami, do przesady wybrednymi. Żeby nie być gołosłownym podam następujące przypadki. Przychodzi pewna pani z plaży lub basenu wprost do sklepu. Żąda naturalnie, bym jej dał poza kolejką pudełko zapalek, prosi, bym je zapakował, bo nie ma kieszeni w kostiumie i musi trzymać pudełko w dłoni. Inny wypadek. Klientka powracająca również z pobliskiego basenu, prosi o jajko z równoczesną wzmianką, „niech pan będzie łaskaw zapakować...” Gdy zapakowałem kontynuuje życzenie dalej „proszę owinąć sznurkiem i zrobić pętelkę na paluszek”. Burzyłem się w duszy, ale milczałem...

Powoli zaklimatyzowałem się w Wiśle, dobrze poznałem kupujących — członków spółdzielni. Po pewnym czasie znałem charakter każdego, jego zamiłowania. Ludność tamtejsza była bardzo uczciwa: jeżeli zaszła jakaś pomyłka przy dokonywaniu sprzedaży — obojętne na czyją korzyść — klient od razu zwracał na nią uwagę. Przypominam sobie wypadek, jak pewien chłopiec — zdaje mi się Bujok — przyniósł do sklepu pełen plecak towaru i wyjaśnił, że to mu się należy i matka wysłała go z powrotem do sklepu. Nie mogłem zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Wziąłem książeczkę zakupów i dopiero zauważyłem, że ekspedient, zamiast

wydać zapisane drobiazgi, jak drożdże i zapałki, wydał chłopcu ponownie wszystkie pobrane w dniu poprzednim towary. Zacząłem mocniej pilnować ekspedienta, który przy nieuczciwych klientach mógł spowodować manko w sklepie. Za kilka dni przyszła do sklepu matka wspomnianego chłopca i powitała mnie słowami: „panoczku, mój chłapiec już po drugi raz nie weźnie towaru, kiery się mu nie należy... przeca wiedziol, że to nima dlo niego...” A może chłopak naprawdę nie zastanawiał się odbierając towary w sklepie. Przecież, gdyby chciał je sobie przywłaszczyć, to nie oddałby matce... W każdym razie szkoła uczciwości, w której główna rola przypada matce, ma chyba w życiu największe znaczenie. Od tego czasu mały dziesięcioletni Bujok zawsze liczył paczki i porównywał je z zapisami w książeczce, by więcej nie musiał odnosić towaru do sklepu.

Ze strony dostawców zdarzały się wypadki nieuczciwości innego rodzaju. Nieraz ktoś z nich oferował mi część dostarczonego towaru bez dowodu. Pierwszym był dostawca masła. Trzeba wiedzieć, że masła sprzedawałem w sezonie po kilkanaście kilogramów dziennie. W odpowiedzi na tę pierwszą propozycję oświadczyłem dostawcy, żeby się więcej nie ważył na coś podobnego, gdyż będę zmuszony zameldować o tym Zarządowi w Ustroniu. Przypomniałem sobie w związku z tym słowa przewodniczącego Rady Nadzorczej, Jerzego Lazara, który awansując mnie na kierownika sklepu, powiedział: „...Największym nieszczęściem dla człowieka jest zawsze ten pierwszy wypadek, ta pierwsza złotówka. Jeżeli się ją raz weźmie, to drugi raz człowiek już nie potrafi sobie jej odmówić, wręcz odwrotnie, szuka się potem okazji. Kto tylko raz rozpocznie w ten sposób, nie potrafi zawrócić i musi upaść”. Nauka ta pozostała mi na całe życie w pamięci i jestem przekonany, że się na niej nigdy nie zawiodę.

Po otrzymaniu pracy w spółdzielni otrzymałem, za pośrednictwem Lazara, kilka razy zaproszenie do Jana Wantuły, pisarza ludowego na Gojach. Znałem go dawno, czytałem z wielkim zainteresowaniem jego artykuły w prasie, cenilem go wysoko. Raz poszedłem do niego prosto ze sklepu. Siedział w swoim skromnym pokoiku otoczony książkami. Ucieszył się bardzo, jako wierny spółdzielca, tą moją pierwszą wizytą i powiedział, że już dawno chciał zawrzeć ze mną znajomość, pogratulować sukcesów w nowym miejscu pracy. Jeżeli artykuły jego robiły na mnie poważne wrażenie, to bezpośredni kontakt, osobiste oddziaływanie jego osobowości, było o wiele silniejsze. Mówił mi dużo o uczciwości, idealizował pracę w ruchu spółdzielczym, wskazywał na błędy niektórych działaczy, doradzał i uczył. Dopiero po kilku latach powiedział mi, że czynił to z namowy prezesa Rady Nadzorczej Spółdzielni, Jerzego Lazara, który mnie bardzo cenil, i który z Wantułą żył w nierozdzielnej przyjaźni.

Nawiązała się między nami prawdziwa przyjaźń, może jedna z najpiękniejszych przyjaźni, jakie dotychczas przeżyłem. Przetrwała ona do końca jego życia.

Praca w Spółdzielni odbijała się na mojej działalności kulturalnej w „Sile”, przede wszystkim w sezonie. Poza tym przygotowywanie lekcji, wypracowania, jakie musiałem pisać w związku z moją nauką na kursach korespondencyjnych, nie pozostawiała mi prawie czasu na życie osobiste.

Już nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się w czerwcu 1939 r. na akademii z okazji Dnia Spółdzielczości w hotelu pod „Czarnym Orłem” w Bielsku. Zauważyłem, że podobnie jak na Śląsku Cieszyńskim Spółdzielnia była związana mocnym węzłem współpracy z Robotniczym Stowarzyszeniem Kulturalno-Oświatowym „Siła”, tak samo w zachodniej Małopolsce i w powiecie bielskim była ona związana z Towarzystwem Uniwersytetów Robotniczych. Na wspomnianej akademii organizacje TUR z Białej, Komorowic, Leszczyn wypełniły w całości część artystyczną

akademii dobranym i znajdującym się na wysokim poziomie artystycznym programem<sup>4</sup>). Jako działacz oświatowy „Sity” byłem związany z młodzieżą, którą nurtowały idee postępowe, i za które nieraz doznawaliśmy szykan ze strony systemu sanacyjnego. Nie chcę na tym miejscu wspominać różnych gorszących scen, pomijam też przykrości, jakie spotykały młodzież za należenie do „Sity”, jako organizacji lewicowej. Ażeby jednak nie być gołosłownym i udowodnić, że akcja ta prowadzona była odgórnie, podaję choćby tylko jeden przypadek. W 1934 r. „Fundusz Pracy” przeprowadzał regulację rzeki Wisły. Ponieważ nie mogliśmy, jako członkowie „Sity” otrzymać skierowania z Ekspozytury Pośrednictwa Pracy, udaliśmy się, za namową mistrza od regulacji — Pagieli, do radcy wojewódzkiego p. Obutowicza w Cieszynie.

Gdy znaleźliśmy się przed jego obliczem, poprosiliśmy o pracę przy regulacji Wisły. Wówczas ten wysoki dygnitarz zapytał jednego z kolegów, u którego w kłapie surduta widniał trójkątny znaczek „Sity”, co to za odznaka. Gdy wytłumaczyliśmy panu radcy co to jest, odezwał się on z ironicznym uśmiechem: „I panowie z takiej organizacji chcecie jeszcze otrzymać pracę na robotach państwowych”. Odpowiedź ta i pogardliwy uśmiech wyjaśniły nam wszystko. Dzięki podobnym szykanom zaczęły nurtować w naszych głowach nowe myśli i dążenia. Zaczęliśmy coraz bardziej zwracać uwagę na sanacyjną rzeczywistość i zastanawiać się, jak to wszystko zmienić... Rozmyślenia nasze dotyczyły nie tylko dziedziny kulturalnej i gospodarczej, lecz nawet społeczno-ustrojowej. Po przejściu do pracy w Spółdzielni nikt z członków władz spółdzielczych nie prześladował mnie za przekonania polityczne, ale zastanawiała mnie np. „spółdzielcza neutralność”. Przecież naszą Spółdzielnią kierowali robotnicy, zrzeszeni w klasowych związkach zawodowych i Polskiej Partii Socjalistycznej, a władze spółdzielcze w święto pierwszomajowe in corpore wyruszały na ulicę, protestując przeciwko dyktaturze sanacyjnej. A tymczasem sklepy były w tym dniu otwarte...

Tego nie rozumiałem i nie mogłem się z tym pogodzić. Monitowałem w tej sprawie prezesa spółdzielni, który rozkładał ręce i tłumaczył, że takie są odgórne zalecenia. Zauważyłem, że doły spółdzielcze nie zgadzały się pod tym względem z odgórnymi dyrektywami.

Poważnym problemem w okresie międzywojennym był dla spółdzielni kredyt. Pomimo zakazów ze strony zarządu, większa część kierowników sklepowych udzielała kredytu. W Wiśle również miałem ludzi, którzy nie mogli żyć bez kredytu — odpadli oni od mojego sklepu. Pamiętam jak Zarząd zwołał specjalne zebranie pracowników, na którym odczytano list lustratora Jackiewicza w sprawie kredytu i przedstawiono, jak ta sprawa wygląda w naszej Spółdzielni.

W 1938 r. pracownicy Spółdzielni ustronńskiej skorzystali z dwóch pięknych wycieczek. Jedna do Zakładów Wytwórczych w Kielcach, a druga na Zaolzie, do Czechosłowacji. Uczestniczyłem w wycieczce na Zaolzie, gdzie zwiedziliśmy dobrze rozwiniętą spółdzielczość polską, a mianowicie: Dom Robotniczy Polskiej Spółdzielni w Łazach, Centralę Polskiej Spółdzielni w Łazach, Hurtownię GEC w Morawskiej Ostrawie i czeskie spółdzielnie pod nazwą „Budučnost”.

Stwierdziliśmy, że Spółdzielnia w Łazach stoi daleko wyżej od naszej, tak pod względem gospodarczym, jak i organizacyjnym. Była chyba wówczas największą

<sup>4</sup>) Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych (TUR) — organizacja oświatowa, założona w 1923 r. i związana z PPS. W okresie okupacji działała konspiracyjna Organizacja Młodzieży TUR o kierunku lewicowym, jednolitofrontowym, W 1948 r. TUR wraz ze Związkiem Walki Młodych, Związkiem Młodzieży Wiejskiej (Wici) i Związkiem Młodzieży Demokratycznej utworzyła Związek Młodzieży Polskiej.

spółdzielnię polską i posiadała przeszło 140 sklepów, własne zakłady produkcyjne, urzędnictwo kulturalne itp. ...

Z jednej strony cieszyłem się ich dorobkiem, ale równocześnie zastanawiałem się, dlaczego my w swojej ojczyźnie nie potrafimy dokonać tego, czego dokonali nasi rodacy za granicą. W drodze powrotnej zwiedziliśmy miejsce katastrofy lotniczej, jaka miała miejsce w 1932 r. w Cierlicku, a w której zginęli Żwirko i Wigura<sup>5</sup>). Koszt wycieczki wynosił około 20 zł i każdy uczestnik pokrywał go z własnych funduszy. Nie było żadnego funduszu akcji socjalnej, który by finansował wycieczki, a mimo to uczestników na wycieczkach organizowanych przez Spółdzielnię było sporo.

Niedługo potem spółdzielnie, któreśmy zwiedzali, znalazły się w związku z pamiętną „akcją Zaolzia” w granicach naszej Ojczyzny, ale równocześnie w trybach sanacyjnego reżimu. Tłumaczono ten krok odwetem za 1920 r. Otrzymaliśmy wraz z Zaolziem najsilniejsze gospodarczo spółdzielnie polskie — ale jak to powiedział jeden z moich przyjaciół — „utraciliśmy sumienie świata”. Ta myśl nurtowała starych działaczy robotniczych i spółdzielczych.

Spółdzielnia ustrońska w okresie międzywojennym prosperowała dobrze i nieraz w związku z tym składano nam wizyty. Pewnego razu, kiedy przybyłem z zamówieniem do biura, zauważyłem, że u kier. Czudka siedzi starszy, siwawy pan. Dowiedziałem się później, że był to kierownik Działu Rewizji Centrali w Warszawie — Stanisław Dippel. W naszej spółdzielni nieraz gościli: Jadwiga Sochacka, Tadeusz Janczyk i wielu innych znanych działaczy spółdzielczych.

Muszę jeszcze wspomnieć o sprawach, które mnie w czasie moich długoletnich kontaktów ze Spółdzielnią, bardzo interesowały. Zauważyłem, że przenikały nieraz do jej władz, ściślejsi mówiąc do Rady Nadzorczej, jednostki mające inny pogląd na życie społeczne niż my. Ludzie, którzy nie cieszyli się pełnym zaufaniem członków, dzięki propagandzie, przeprowadzonej przed Walnym Zebraniem Przedstawicieli, dostali się jakoś do Rady Nadzorczej. Jak sobie dziś przypominam, były to tylko jednostki. Głęboko w pamięci utkwiał mi dzień, w którym 3 członków Rady Nadzorczej zorganizowało sobie poufne zebranie w piwnicy należącej do magazynu Spółdzielni. Wyszło to bardzo niefortunnie... bo stary, solidny robotnik magazynowy, Błahót, zamknął drzwi, jakby o niczym nie wiedział... Z jakim to wstydem opuszczali piwnicę, którą specjalnie otworzył kierownik Czudek.

Przytoczę jeszcze jeden fakt, który utrwalił mi się w mojej już nieco przyćmionej pamięci. Pewnego razu przyszło o godzinie 15, po zakończeniu dziennej zmiany w fabryce, około dwudziestu robotników. Czudek wyszedł do nich i zapytał: „po co żeście przyszli?” Nikt i nic nie odpowiedział, tylko ze wstydem wszyscy się rozeszli. Miała to być jakaś demonstracja przeciwko kierownikowi Czudkowi, jednak organizator tej akcji nie przyszedł.

Kierownik Czudek i główny księgowy Lipowczan, którzy w zasadzie byli „organem wykonawczym” Spółdzielni cieszyli się wśród pracowników autorytetem, poważaniem i posłuchem. Zdobywali go stanowczą decyzją, za którą brali na siebie pełną odpowiedzialność. Przekonałem się wiele lat później, jakie ogromne znaczenie ma wyraźna decyzja, choćby nawet mylna, ale wydana przez osobę lub zespół biorący na siebie za nią pełną odpowiedzialność.

Jako pracownik sklepowy zajmowałem się nie tylko kwestią zaopatrzenia sklepu, wyliczenia się z rachunków, ale gospodarką całej spółdzielni. Dzięki kursom

<sup>5</sup>) Franciszek Żwirko (1895—1932) i Stanisław Wigura (1901—1932) — polscy piloci, zdobywcy pierwszych miejsc na międzynarodowych zawodach samolotów sportowych (Challenge). Zginęli w katastrofie lotniczej w Czechosłowacji w 1932 r.



potrafiłem już z grubsza ocenić gospodarkę na podstawie bilansu i rachunku wyników oraz zrozumieć, jakie znaczenie dla przedsiębiorstwa ma podział czystej nadwyżki. Zauważyłem, że potrzeba ekspansji gospodarczej zmuszała władze spółdzielni do stawiania wniosków o ograniczenie procentu od zakupów na rzecz funduszu zasobowego czy inwestycyjnego. Jestem zdania, że z wynikami działalności powinni być dokładnie zapoznawani wszyscy pracownicy spółdzielni, a przede wszystkim ci z nich, którzy na kształtowanie się tych wyników mają największy wpływ.

Nadszedł sezon 1939 r. Sklep w Wiśle — Centrum, który nie tak dawno jeszcze był na ostatnim miejscu, zajął teraz pod względem utargów czwarte miejsce. Mimo nawału pracy, interesowałem się bardzo polityką. Wyczuwałem ferment w stosunkach międzynarodowych, zaczęto go odczuwać na rynku. Ludzie więcej kupowali, robili zapasy. Tymczasem zakończyłem kurs korespondencyjny dla księgowych, otrzymałem świadectwo i zwróciłem się do Rady Nadzorczej o zwrot kosztów, które w zasadzie były pokrywane z czystej nadwyżki. Muszę tutaj wspomnieć, że wszystkie kursy szkoleniowe „Społem” były opłacane przez pracowników, a dopiero po zakończeniu i zdaniu egzaminów, spółdzielnia zwracała koszty. Niestety wydarzenia, które rozwinęły się w błyskawicznym tempie, a następnie okupacja, spowodowały, że byłem, zdaje się, pierwszym pracownikiem, który po przedstawieniu świadectwa nie otrzymał zwrotu kosztów.

1 września 1939 r. Na dworcu w Ustroniu, z którego stale dojeżdżałem do Wisły, dowiedziałem się, że pociąg nie kursuje. Co tu robić? Sklep musi być otwarty... Czekam, debatuję na temat ostatnich wydarzeń ze znajomymi kolejarzami. W trakcie tego dyżurny odebrał wiadomość, że do Wisły pojedzie jeszcze parowóz, Przyrzekł interweniować u maszynisty, by mnie zabrał ze sobą. Za chwilę nadszedł z kierunku Goleyszowa parowóz. Zabrał mnie. Pierwszy raz w życiu jechałem do Wisły parowozem. Było wszędzie cicho i smutno. Przy mostach stały warty wojskowe, widać było jeszcze resztki uciekinierów, ciągnących na wschód. W Wiśle była zupełna pustka, słychać było tylko od czasu do czasu gdzieś daleko za górami jakiś huk. Otworzyłem sklep, do którego przychodzili prawie tylko sąsiedzi, znajomi, więcej na pogawędkę niż po zakupy. Dowiedziałem się, że na wschód poszli nauczyciele, urzędnicy państwowi, część robotników, a przede wszystkim działacze polityczni. Wycofała się również policja. Aby otrzymać jakieś wiadomości, wychodziłem często na ulicę, przed sklep na pogawędkę. Spotkałem córkę najbliższego sąsiada Kaisera i zapytałem o ojca. Dała mi wymijającą odpowiedź. A gdy scharakteryzowałem na swój sposób ostatnie posunięcia polityczne hitlerowskich Niemiec i z prawdziwym zmartwieniem wypowiedziałem się o naszej najbliższej przyszłości, zauważyłem u mojej rozmówczyni jakieś dla mnie niezrozumiałe i źle ukrywane zadowolenie. Powiedziała coś na temat bałaganu oraz krzywdy, jakich „oni” w tej Polsce doznali i... „Najwyższy czas, żeby się to raz skończyło...” Jak to — zapytałem — przecież Polska jest jeszcze cała, a pani mówi już o niej w czasie przeszłym”. Zarumieniła się, więc zacząłem jej tłumaczyć, że z systemem sanacyjnym trzeba walczyć, ale walczyć jak człowiek, który nie chce rozwalić domu, w którym mieszka i w którym mieszkali jego ojcowie. Nie mogliśmy się jakoś dogadać. Nie dawało mi to jednak spokoju. Gdyby to powiedział jakiś biedak, odczuwający naprawdę knut sanacyjnego reżimu, to bym jeszcze rozumiał, ale Kaiserówna, córka kupca, któremu się przed wojną w Wiśle świetnie powodziło...!

Około godz. 10 zobaczyłem idących ulicą kilku żołnierzy ochrony pogranicza i strażników granicznych. Wybiegłem do nich, nie chcieli jednak rozmawiać, zmartwieni śpieszyli w kierunku stacji. Wreszcie jeden z nich wszedł do sklepu po papirosy. Był z Krakowskiego, zagadał się trochę i wyjaśnił, że granica nie jest obsta-

wiona wojskiem. Była tam — powiedział — grupka żołnierzy, która przed chwilą przeszła, a Niemcy dzisiaj rano w Istebnej przekroczyli granicę. Chłopak rozłożył ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: co nas kilku żołnierzy mogło tam zrobić...

Zastanowiłem się poważnie, co mam robić. Byłem żołnierzem i chociaż miałem niebieską kartę mobilizacyjną, czyli obowiązek zgłoszenia się dopiero na specjalne wezwanie, to jednak po rozmowie z żołnierzem, zacząłem wierzyć, że Niemcy mogą opanować Śląsk Cieszyński. Rano jeszcze w to nie wierzyłem.

O godzinie 11 zapadła decyzja. Zamknąłem sklep i wyruszyłem pieszo do Ustronia. Około godziny 12, gdy już byłem w Polanie, usłyszałem huczenie samolotu. Lecił dość nisko. Była to ogromna maszyna z czarnymi krzyżami. Schowałem się w wiklinie, słyszałem jak w Ustroniu buczały na alarm syreny. Nadleciało więcej maszyn, lecz nie strzelały ani nie bombardowały.

Około godziny 14 byłem w biurze zarządu w Ustroniu. Nikt mi tu nie umiał powiedzieć, co mam robić. Nawet tak bardzo zaradny Czudek rozłożył ręce... Ale główny księgowy Lipowczan jednak się odezwał: „Jest pan polskim żołnierzem i o tym trzeba pamiętać”, czyli on jedyny potwierdził moją zapadłą już w Wiśle decyzję.

Oddałem kierownikowi Czudkowi klucze od sklepu i poprosiłem o komisyjne sporządzenie inwentury.

Pożegnałem się z obecnymi i nocą z 1 na 2 września wyruszyłem na miesięczną tułaczkę.

Wędrówka do Beresteczka, w którym znalazłem się w drugiej połowie września, oraz powrót mogą być tematem oddzielnej obszernej książki.

\*  
\*       \*  
\*

2 października 1939 r. zapukałem nocą do rodzinnej chatki. Byłem zawszony, prawie boso. Po kilku dniach poszedłem do spółdzielni. Prawie wszyscy pracownicy byli już na miejscu, przyjęto mnie z otwartymi rękami, a księgowy Lipowczan radził, żebym natychmiast wracał do pracy. Ale gdzie? Poszedłbym z powrotem do sklepu w Wiśle, ale niemiecka policja, u której musiałem się natychmiast po powrocie zameldować, nałożyła na mnie obowiązek codziennego zgłaszania się w godzinach popołudniowych na policji w Golezowie.

Następnego dnia pojechałem jednak rowerem do Wisły. Na ulicy, w pobliżu naszego sklepu, zobaczyłem idącego kupca Kaisera. Zauważył mnie, dźwignął prawą łapę do góry i powitał słowami: „Heil Hitler”. Zbaraniałem. A gdy jeszcze odwrócił mi klapę surduta i odezwał się „... a kaj mosz ty medale coś tam leciol po ni...”, poczułem do niego odrazę. W sklepie pracował kolega Hajek, który mi wyjaśnił, że jest tu kilku zdrajców, że część ludzi zubożyła na wszystko, ale zdecydowana większość pozostała jednak polska.

Zaczęły się aresztowania i ludzie się bali. Poszedłem jeszcze do „Zdrojowego”, gdzie pracował w charakterze kelnera kolega Pietrzyński, z którym wspólnie przeżywałem wrześniową wędrówkę. Spotkałem go przed drzwiami, był zaziębiony, zaprosił mnie na herbacę.

Wchodzimy, zajęty jest tylko jeden stolik, goście mówią po niemiecku i piją piwo. Patrząc, i oczom nie wierzę. Zasiada wśród nich jeden z liderów wiślańskiej sanacji...

Wróciłem do Ustronia i oświadczyłem kierownikowi Czudkowi, że naprawdę nie mam ochoty pracować w Wiśle, że tam jest już zresztą nowy kierownik sklepu.

Lipowczan znalazł wyjście. „Przecież skończył pan kursy dla księgowych — powiedz — a my tu w biurze mamy tyle roboty. Więc tutaj pana zostawimy, a w soboty, gdy jest największy ruch w sklepach, będzie pan pomagał Ireckiemu w sklepie nr 1”.

Była właśnie sobota, toteż od razu poszedłem do sklepu nr 1. Zaznaczam, że spółdzielnia miała pełne magazyny towarów polskich i dlatego było czym handlować. Ludność miejscowa, jeżeli tylko miała pieniądze, starała się zamienić je na towar. Wykupywali towary również żołnierze niemieccy.

W sklepie trzeba było być uprzejmym, odpowiadać na pozdrowienia każdego klienta. Nieraz przychodzili do sklepu tacy, którzy witali się znienawidzonym hitlerowskim pozdrowieniem. Nie odpowiadałem. Nie inaczej myśleli i postępowali młodzi i energiczni ekspedienci Mendrek i Cholewa. Zauważyłem, że kierownik sklepu Irecki i Blasbalżanka udawali mocno zapracowanych i nie „słyszeli pozdrowień”. Świetnie im się to udawało. Po kilku dniach któryś z ustronkich Niemców zwrócił się do Ireckiego z zażaleniem, że ekspedienci na niemieckie pozdrowienie odpowiadają drwiącym uśmiechem. Na moje szczęście przeniesiono mnie na stałe do biura. Pomagałem przy różnych pracach, obliczałem inwentury, a następnie przydzielono mi rozliczanie kartek żywnościowych. Spółdzielnia miała nadal sklepy w Golezowie, Cisownicy i Wiśle, wobec czego z rozliczeniami, które sporządzałem zupełnie samodzielnie, miałem naprawdę dużo pracy.

Spółdzielnia została rychło przyjęta przez niemiecki „Auffanggesellschaft” i Wprężnięto ją w rydwan pracy niemieckiego systemu aprowizacyjnego. Dzięki jednak ludziom, którzy w niej na początku wojny pracowali, pozostała ona placówką wyraźnie polską. Jej solidarność z polską ludnością Ustronia i okolicy występowała na każdym kroku. Wyrażała się ona m. in. w sprzedaży zaufanym członkom, Polakom, pochowanych towarów polskich, a przede wszystkim w odważnych posunięciach Czudka, który będąc równocześnie kasjerem wypłacił w pierwszym miesiącu wojny wszystkim zaufanym członkom złożone w Spółdzielni oszczędności. Okupant nie zorientował się w pierwszej chwili, że przedsiębiorstwo handlowe jest również kasą oszczędnościową dla członków. Kierownik Czudek wykorzystał ten fakt. Dzięki temu 90% członków Spółdzielni nie straciło swoich oszczędności, jak to miało miejsce w innych kasach, bankach czy w PKO, w których okupant natychmiast zablokował konta.

Ludzie, którzy przed wojną kierowali Spółdzielnią, po zagarnięciu naszej ziemi przez armię niemiecką, zostali wierni raz obranym przez siebie ideałom, ideałom demokracji i patriotyzmu. Chociaż Zarząd i Rada Nadzorcza zostały rozwiązane, ich członkowie przychodzili nieraz pojedynczo czy małymi grupkami na prywatne, poufne rozmowy. Przychodzili najczęściej: Bujok, Cieślak, Durczak, Lazar, Sadlik, Śmiłowski i Zawada. O pracy społeczno-samorządowej nie było obecnie mowy, głównym celem i najświetlejszym ideałem stała się wolna Polska.

Spółdzielnię zaczęli się coraz bardziej interesować miejscowi Niemcy. W niedługim czasie narzucono nam niemieckiego „Treuhändera” w osobie Folmmera z Bielska. Nasz Czudek znał Folmmera jako działacza spółdzielczego i socjaldemokratę niemieckiego, działającego na terenie powiatu bielskiego. Z Czudkiem, który słabo mówił po niemiecku, rozmawiał on po polsku, lecz z księgowym Lipowczanem tylko po niemiecku. Z innymi pracownikami unikał rozmów. Trudno mi dzisiaj osądzić, dlaczego hitlerowcy mianowali na to stanowisko socjaldemokratę niemieckiego. Wydaje mi się, że Folmmer w obawie przed konsekwencjami za ucieczkę na wschód przylepił się do okupantów i starał się Polakom nie szkodzić.

Wkrótce zbrodnicze faszystowskie macki sięgnęły po wybitniejszych działaczy politycznych i społecznych. Rozpoczęły się aresztowania, zwalniano ludzi z pracy.

Jako pierwszy na terenie Ustronia został aresztowany brat księgowego spółdzielni kierownik szkoły Paweł Lipowczan. Żydów skoszarowano w budynku zwanym popularnie „Bretnerówka” i używano do najgorszych robót, jak czyszczenie ustępów, opróżnianie kloak, zmiatanie dróg itp. Wybiegłem razu pewnego z magazynu na ulicę i omal nie wpadłem na Józję Flankówną, która z łopatą i miotłą w rękach zmiatała drogę. Uczęszczałem z nią przez 7 lat do tej samej szkoły powszechnej. Chociaż łyknęła odrobinę wyższego wykształcenia, nigdy się nie wywyższała i zupełnie się zasymilowała z miejscową ludnością. Uśmiechnęła się zlekka, gdy ją pozdrowiłem. Żał mi się zrobiło tej wątłej dziewczynki, z którą nie mogłem zamienić słowa, gdyż opodal stał znany mi przed wojną obywatel z opaską z czarnym krzyżem na rękawie, pilnujący Żydów.

Prześladowania wzmagaly się z każdym dniem. Ciężko przeżyliśmy w biurze pierwsze morderstwo dokonane w Ustroniu. Kierownik Czudek, który załatwiał coś w urzędzie gminnym, przyniósł właśnie około południa wiadomość, że przed chwilą gestapo zastrzeliło piekarza, Żyda — Bergera. Ta wstrząsająca wiadomość oderwała nas wszystkich od pracy. Nie mogliśmy pojąć, że można było bez sądu, bez wyroku zastrzelić człowieka jak wściekłego psa. Później dowiedzieliśmy się, że stary Berger, przedwojenny właściciel małej piekareni, nie poniżał się wobec okupanta i wychodził zawsze na ulicę z głową podniesioną, wykazując pewną dumę narodową. Tego nie mogli znieść miejscowi Niemcy. Jeden z gestapowców uderzył Bergera w twarz, krzycząc: „Du verfluchter Jude!”<sup>6)</sup> Według oświadczenia naocznego świadka, Berger w mocnych słowach zareagował na zniewagę. Skutek był taki, że go natychmiast rozstrzelano.

W Spółdzielni ustronńskiej pracowali przeważnie ludzie o lewicowych przekonaniach. Od dawna mieli wyrobione i zdecydowane zdanie o reżimie hitlerowskim. Żaden z nich nie poszedł w 1939 r. na współpracę z okupantem. Na skutek nieludzkich prześladowań i niespotykanej propagandy niektórzy pracownicy Spółdzielni podczas policyjnej rejestracji ludności, w czasie której pobierano odciski palców (17.XII.1939 r.) podali, że są narodowości śląskiej, a bezkompromisowi, zdecydowani na wszystko, podali, że są narodowości polskiej. W rezultacie utworzyły się jak gdyby dwie grupy. Grupa zdecydowanie polska, do której należeli Lipowczan, Czudek, Madzia Blasbalżanka, Błahót, Irecki i autor niniejszych wspomnień. Schodziliśmy się co dzień rano przed godz. 8 w piekarni, gdzie prowadziliśmy nieraz długie i „ciche rodaków rozmowy”. Dzieliliśmy się wiadomościami z okolicy i całego świata, tam rodziła się i utrzymywała nadzieja na przetrwanie. Poranki w piekarni zaliczam do najpiękniejszych chwil i najmilszych przeżyć w okresie długiej nocy okupacji.

Wiosną 1940 r. rozpoczęła się akcja zwalniania Polaków zatrudnionych jeszcze w biurach. Jako pierwszy dostał wypowiedzenie kierownik Czudek. Ponieważ prowadził kasę, a następcą, jakiś Nogol z Zaolzia nie był w stanie od razu zmienić miejsca pracy, więc zostawiono go jeszcze na pewien okres czasu. Zaczęliśmy się niepokoić, tym bardziej że Czudka, jako najstarszego spośród nas, było nam szczerze żal. A poza tym zaczęła się nowa fala aresztowań. Codziennie opuszczaliśmy zebranie w piekarni z gorącym pragnieniem, byśmy jeszcze jutro wszyscy mogli się tutaj spotkać.

Aż tu raz w sobotę około godz. 14 przyjechał „Treuhandner” Folmmer i po rzuceniu płaszcza podszedł do mojego biurka. Pierwszy raz odezwał się do mnie po polsku: „Z rozkazu władz wyższych zwalniam pana natychmiast z pracy bez wypowiedzenia”. Wiadomość była bardzo nieprzyjemna, spadła na mnie jak grom

<sup>6)</sup> „Przeklęty Żydzie!”

z jasnego nieba. Odpowiedziałem tylko „dziękuję”, posprzątałem wszystkie akcesoria, niezbędne do pracy, oddałem klucz od biurka i wyszedłem. W magazynie spotkałem Ireckiego. Podzieliłem się z nim ostatnią nowiną i zabrałem się do wyjścia. W tym czasie wyszedł z biura Lipowczan wspólnie z Ireckim. Namówili mnie, bym zaczekał do zamknięcia sklepu, to jest godz. 17, gdyż musimy sobie jeszcze porozmawiać. Udałem się na spacer, lecz czułem się jakoś niewyraźnie... Byłem faktycznie pierwszym pracownikiem spółdzielni ustrońskiej, wyrzuconym w kwietniu 1940 r. z pracy. Wynikało z tego, że uważano mnie za najgorszego spośród pracowników i że będę musiał być bardzo ostrożny. Z drugiej strony, gdzieś głęboko w sercu tliła się iskierka zadowolenia... Zwróciłem się myślą ku historii naszych ostatnich 150 lat. Ileż tam było straszliwych cierpień, krzywd, ile krwi i łez... A ja miałbym obecnie tylko na skutek zwolnienia z pracy rozpaczać? Nie. Wydawało mi się chwilami... że byłoby mi nawet wstyd, gdybym nie doznał prześladowań.

Później dopiero przekonałem się, jak bardzo byłem lekkomyślny. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, co się przeżywa w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Z takimi myślami pospacerowałem sobie po Ustroniu i o godzinie 17 zjawiłem się w biurze. Postanowiliśmy wspólnie z Lipowczanem i Ireckim pójść do restauracji fabrycznej, w której kierowniczką była zaufana osoba Przybyłowa, aby „zalać” nieszczęście.

Cała trójka nie używała prawie alkoholu, ale w ten wieczór wypiliśmy sporo. Ostrożna kierowniczką restauracji zamknęła nas w osobnym pokoju gościnnym, do którego nikogo nie wpuszczała. Portret Hitlera wiszący na ścianie odwróciliśmy, aby na nas nie patrzył; byłby on na pewno podeptany, gdyby kierowniczką restauracji nas od tego kroku nie powstrzymała. A jakie to plany robiliśmy tego wieczoru...

Opuściliśmy restaurację około godziny 20 pełni nadziei, że niedługo nadejdzie dzień, w którym my wszyscy starzy pracownicy znowu zbierzemy się w naszej Spółdzielni.

Taki sam los, jak mnie, spotkał kolejno prawie wszystkich Polaków, zatrudnionych w ustrońskiej Spółdzielni.

Tak skończył się pierwszy etap mojej pracy w Spółdzielni. W krótkich, prymitywnych notatkach, nie ułożonych chronologicznie (piszę przeważnie z pamięci), może w niej jedno zbyt wiele włożyłem sentymentu, może częściowo zatarło się w pamięci to, co przemknęło tylko jak cień lub ledwo uchwytna plamka. Jednakże, jeżeli chodzi o zasadnicze kontury, to starałem się odtworzyć prawdę taką, jaką ją widziałem moimi oczami.

W maju 1941 r. zostałem aresztowany, a następnie osadzony w obozie. Przerwała się na jakiś czas więź łącząca mnie z moim dotychczasowym życiem. Z dalekiego Oebisfelde, dokąd mnie wywieziono po zwolnieniu z obozu, nawiązałem, a następnie utrzymywałem kontakt ze współpracownikami spółdzielczymi. Po ucieczce z robót w Niemczech w r. 1942 oraz w czasie mojego trzyletniego życia konspiracyjnego utrzymywaliśmy luźny kontakt z Zawadą. Raz tylko, w 1944 r. spotkałem się z Czudkiem.